

L U S T C L A S S I C S

# NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

*Pierre Choderlos de Laclos*

*Lust*  
CLASSICS

L U S T C L A S S I C S

# NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

*Pierre Choderlos de Laclos*

*Lust*  
CLASSICS

Pierre Choderlos de Laclos

# Niebezpieczne związki

Tłumaczenie Tadeusz Boy-Żeleński

(1782)

Lust

*Niebezpieczne związki*

Tłumaczenie Tadeusz Boy-Żeleński

Tytuł oryginału *Les Liaisons Dangereuses*

Język oryginału francuski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.  
Copyright © 1782, 2022 LUST

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728208366

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą  
Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają  
poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji  
historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla  
czasów z których pochodzi.

# Część pierwsza

## LIST I

Cecylia Volanges do Zofii Carnay w klasztorze urszulanek w  
\*\*\*

Widzisz, droga przyjaciółko, że dotrzymuję słowa i że czepeczki i stroiki nie pochłonęły tak dalece mego czasu, aby mi go zawsze nie zostało dla ciebie. A przecież w tym jednym dniu napatrzyłam się więcej strojów niż przez cztery lata, które spędziłyśmy razem w klasztorze. Mama zasięga we wszystkim mego zdania; czuję, że jestem w jej oczach daleko mniej pensjonarką niż poprzednio. Mam własną pannę służącą, pokój i salonik wyłącznie dla siebie; piszę do ciebie na ślicznym biurczku, do którego dostałam klucz i gdzie mogę chować i zamykać, co mi się podoba. Mama oznajmiła, że będę ją widywała codziennie przy wstawaniu; wystarczy, jeżeli będę uczesana do obiadu, wówczas uwiadomi mnie co dzień, gdzie mam się z nią spotkać po południu. Resztą czasu mogę rozporządzać do woli; mam swoją harfę, rysunki i książki, jak w klasztorze; z tą różnicą, że nie ma matki Anuncjaty, która by mi sypała bury, i że gdybym chciała, mogłabym nic nie robić od rana do wieczora; że jednak nie mam przy sobie mojej Zosi, z którą bym mogła śmiać się i gawędzić, wolę skracać czas jakimś zatrudnieniem.

Jest ledwie piąta; z mamą ma się spotkać dopiero o siódmej; czasu więc było aż nadto, gdybym tylko miała coś do zwierzenia! Ale jeszcze nic nie wiem; gdyby nie przygotowania na jakie patrzę co dzień, i nie mnóstwo robotnic, które kręcą się tu wyłącznie dla mnie, mogłabym myśleć, że nikomu się nie śni wydawać mnie za męż i że to

była zwykła gadanina pocziwej Józefy. Jednakże matka powtarzała mi często, że panienka powinna zostawać w klasztorze aż do chwili zamążpójścia, że skoro mnie odebrano, Józefa musi chyba mieć słuszość. Jakiś pojazd zatrzymał się przed bramą i mama kazała mnie zawołać natychmiast do siebie. Czyżby to miał być... Jestem nie ubrana, ręce mi drżą i serce tłucze się we mnie. Pytam panny służącej, czy nie wie, kto jest u matki. "Owszem - odparła - pan G\*\*\*." To mówiąc zaczęła się śmiać. Och, mam jakieś przeczucie, że to on. Wrócę zaraz, aby ci opowiedzieć, jak się wszystko odbyło. Wiem już przynajmniej, jak się nazywa. Spieszę, aby nie dać na siebie czekać zbyt długo. Do widzenia, za małą chwileczkę.

Toż będziesz sobie żartować z głupiutkiej Cesi! Och, jak się zawstydziłam! Ale i ty byłabyś się złapała tak samo.

Wszedłszy ujrzałam czarno ubranego pana, który stał koło mamy. Ukłoniłam się najwdzięczniej i zatrzymałam się niby wrośnięta w posadzkę. Możesz sobie wyobrazić, jak mu się przyglądałam!

"Pani margrabino - rzekł do matki oddając mi ukłon - córeczka pani jest zachwycająca i tym żywiej przychodzi mi odczuwać łaskę, jaką mnie pani darzy."

Na tak wyraźne oświadczyzny poczęłam drzeć na całym ciele, nie mogłam się utrzymać na nogach; szczęściem spostrzegłam fotel; usiadłam, cała czerwona i pomieszana. Ledwie zdążyła to uczynić, już człowiek ten znalazł się u moich kolan. Wówczas twoja biedna Cesia straciła do reszty głowę; byłam, jak mówi mama, zupełnie nieprzytomna. Zerwałam się, wydając przeraźliwy krzyk... ot, jak wtedy, podczas burzy, pamiętasz? Na to mama parsknęła śmiechem, mówiąc: "Co tobie, dziecko? Usiądźże i podaj panu nogę." Moja złota, pokazało się, że ten pan to po prostu... szewc. Nie umiem ci opisać jak się zawstydziłam; na szczęście nikogo nie było prócz mamy. Sądzę, iż skoro

wyjdę za mąż nigdy nie wezmę już tego szewca. Przyznaj, że my, doprawdy, dużo wiemy o świecie! Do widzenia. Już blisko szósta; panna służąca mówi, że czas się ubierać.

Do widzenia, Zosiu droga; kocha cię tak jak gdybym jeszcze była w klasztorze.

P.S. Nie wiem, przez kogo posłać list; zaczekam, aż przyjdzie Józefa.

Paryż, 4 sierpnia 17\*\*

## LIST II

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont w zamku  
\*\*\*

Wracaj, drogi wicehrabio, wracaj; cóż ty tam robisz, co możesz robić u starej ciotki, która cały majątek zapisała już tobie? Ruszaj natychmiast w drogę: potrzebny jesteś! Przyszła mi do głowy wspaniała myśl i tobie pragnę powierzyć jej wykonanie. Tych kilka słów powinno by wystarczyć; aż nazbyt zaszczycony wyborem, powinien byś stawić się z całym pośpiechem, aby na kolanach odebrać me rozkazy. Ale ty nadużywasz mej dobroci nawet wówczas, kiedy przestałeś z niej korzystać; w wyborze, jaki mam przed sobą, albo wiecznej nienawiści, albo bezgranicznego pobbłażania, jedynie szczęściu swemu zawdzięczasz iż dobroć moja bierze górę.

Zatem spieszę wtajemniczyć cię w swoje zamysły, lecz przysięż, że, jako wierny rycerz nie pogonisz za inną przygodą póki tej nie doprowadzisz szczęśliwie do końca. Jest ona zaprawdę godna bohatera: masz służyć razem miłości i zemście; słowem, będzie to jeden czyn więcej do twoich pamiętników; tak, pamiętników, gdyż chcę koniecznie, aby kiedyś ukazały się w druku, i sama podejmę się je spisywać.

Ale zostawmy je na razie, a wróćmy do tego, co mnie w tej chwili zaprzęta. Pani de Volanges wydaje za mąż córkę: to jeszcze tajemnica, ale zwierzyła mi ją od wczoraj. I kogo, myślisz, wyszukała na zięcia? Hrabiego de Gercourt. Któżby, powiedział, że ja mam zostać kuzynką Gercourta? Wściekłam się po prostu. Jak to! Nie domyślasz się jeszcze?

O niepojętna głowo! Czyżbyś mu już przebaczył przygodę z intendentową? A ja, czyż nie więcej mam jeszcze przyczyn gniewać się nań, ty potworze? Nie panuję nad gniewem i nadzieja zemsty rozpogadza mą duszę.

Sto razy musiałam ci się dać we znaki, jak i mnie, owa uroczyta nadętość, z jaką Gercourt rozprawia o tym, co za przymioty musi posiadać jego przyszła żona oraz głupia zarozumiałość, która mniema, iż on właśnie zdoła uniknąć nieuniknionego losu. Znasz jego śmieszną wiarę w klasztorne wychowanie i jeszcze śmieszniejszy bodaj przesąd co do chłodnego temperamentu blondynek.

W istocie mogłabym się założyć, że mimo sześćdziesięciu tysięcy renty małej Volanges nigdy nie przyszłoby mu na myśl małżeństwo, gdyby panna była brunetką lub gdyby się nie chowała w klasztorze. Przekonajmy go zatem, że jest tylko głupcem i... czymś więcej: zostałby nim z pewnością prędzej czy później; nie o to się też kłopotę; lecz byłoby zabawne, gdyby już od tego zaczął. Jakże byśmy się przednio bawili nazajutrz, słysząc, jak się chełpi! Bo będzie się chełpił z pewnością; a przy tym, skoro już raz ty pokierujesz pierwszymi krokami tej dziewczyny, trzeba by dziwnego nieszczęścia, aby Gercourt nie stał się z czasem, jak tylu innych, przedmiotem zabawy całego Paryża.

Zresztą bohaterka tego nowego romansu zasługuje w zupełności na twoje starania: jest naprawdę ładna; ot, dzieciak piętnastoletni, istny pączek róży; nieprawdopodobnie naiwna i bez najmniejszej sztuki; ale was, mężczyzn, taka rzecz nie odstrasza; ma przy tym w oczach jakąś tkliwą omdlałość, doprawdy bardzo obiecująca. Dodaj do tego, że ja ją polecam; nie pozostaje ci nic, jak tylko podziękować i posłuchać.

List ten dojdzie twoich rąk jutro rano. Rozkazuję, abys jutro o siódmej wieczór zjawił się u mnie. Nie przyjmuję nikogo przed ósmą, nawet mego panującego kawalera; on

nie ma dosyć głowy na tak ważne przedsięwzięcie. Widzisz, że mnie miłość nie zaślepia. O ósmej zwrócę ci swobodę, o dziesiątej zaś wrócisz, aby wieczerzać wraz z pięknym przedmiotem twoich zabiegów: matka i córka będą jutro u mnie.

Do widzenia! Minęło już południe. Niebawem przestanę się tobą zajmować.

Paryż, 4 sierpnia 17\*\*

## LIST III

Cecylia Velanges do Zofii Carnay w klasztorze urszulanek w  
\*\*\*

Niczego się jeszcze nie dowiedziałam, droga. Wczoraj było u mamy dużo gości. Mimo ciekawości, z jaką przypatrywałam się towarzystwu, zwłaszcza panom, wynudziłam się straszliwie. Wszyscy, mężczyźni i kobiety przyglądali mi się, a potem szeptali sobie do ucha; wiedziałam doskonale, że rozmawiają o mnie: czułam, że się czerwienię, a nie mogłam się powstrzymać. Bardzo zła byłam na siebie, bo uważałam, że gdy się przyglądają innym kobietom, one się nie czerwienią. A może to tylko dlatego nie widać po nich, że się różują, bo trudno chyba nie zaczerwienić się, kiedy mężczyzna wpatruje się tak natarczywie. Najwięcej niepokoiło mnie to, że nic nie wiem, co oni sobie wszyscy o mnie myślą. Zdawało mi się, że dosłyszałam parę razy słowa ładna, ale na pewno słyszałam również niezręczna; i to musi być prawdą, gdyż pani która to mówiła, jest krewną i przyjaciółką matki; zdaje się, że i do mnie nabrała od razu dużo sympatii. To jedyna osoba, która trochę rozmawiała ze mną. Jutro mamy być u niej na kolacji.

Słyszałam jeszcze później, jak jakiś pan (jestem pewna, że mówił o mnie) odezwał się do drugiego: "Niechże to jeszcze dojrzeje, zobaczymy tej zimy." Może to on właśnie ma się ze mną żenić, ale to by znaczyło, że dopiero za cztery miesiące! Chciałabym bardzo wiedzieć jak jest w istocie.

Przyszła właśnie Józefa, aby zabrać list; mówi, że jej pilno. Ale muszę ci opowiedzieć jeden jeszcze przykład mojej niezręczności. Och, zdaje mi się, że ta pani ma słuszość! Po kolacji wszyscy zasiedli do gry. Usadowiłam się tuż koło mamy; nie wiem, jak się stało, ale zasnęłam prawie natychmiast. Obudził mnie głośny wybuch śmiechu. Nie wiem, czy ze mnie się śmiano, ale przypuszczam. Mama pozwoliła mi iść do siebie, czym mi zrobiła wielką przyjemność. Wyobraź sobie, było już po jedenastej! Do widzenia, Zosiu droga, kochaj zawsze mocno swoją Ceśkę. Zaręczam ci, że świat nie jest tak zabawny, jak mi się wydawał w marzeniach.

Paryż, 4 sierpnia 17\*\*

## LIST IV

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil w Paryżu

Rozkazy twoje, markizo, są czarujące; sposób w jaki je wydajesz, jeszcze bardziej uroczy; przy tobie, pani, byłbym zdolny pokochać despotyzm. Nie pierwszy to raz, jak ci wiadomo, ubolewam, że nie jestem już twym niewolnikiem; mimo nazwy potwora, jaką mnie obdarzasz, najmilej wspominam czasy, kiedy zaszczycałaś mnie słodszyimi imionami. Często nawet marzę o tym, aby zasłużyć je na nowo i aby już do końca dni wytrwać u twoich stóp, pani, dając światu przykład stałości. Ale ważniejsze przeznaczenia wołają nas w tym życiu; losem naszym jest zdobywać; trzeba iść tedy drogą jaką nam pisano. Może kiedyś, na schyłku naszego zawodu, spotkamy się jeszcze; bo - niech mi wolno będzie powiedzieć bez urazy - ty, śliczna markizo, postępujesz co najmniej równym krokiem, i od czasu jak, rozłączywszy się ku pożytkowi świata, niesiemy naszą ewangelię każde na swoją rękę, zdaje mi się, że w tym posłannictwie miłości ty więcej ode mnie zdobyłaś już wyznawców. Znam twoje poświęcenie, twą płomienną żarliwość; zaprawdę, gdyby to bóstwo miało nas sądzić po dziełach, ty byłabyś kiedyś patronką dużego miasta, gdy twój przyjaciel i sługa zostałby ledwie pokątnym świętym jakiej mizernej wioseczki. Ten budujący styl musi cię nieco dziwić, markizo, nieprawdaż? Ale już od tygodnia nie słyszę innego, nie mówię innym; co więcej, aby się w nim doskonalić, muszę ci być, pani, nieposłusznym.

Nie gniewaj się, markizo, i wysłuchaj. Tobie skarbniczce tajemnic mojego serca, powierzę największy zamiar jaki

kiedykolwiek urodził się w mej głowie. Do czegoż ty mnie chcesz mnie użyć? Bym uwiódł młodą dziewczynę, która nic nie widziała, o niczym nie ma pojęcia; która byłaby mi wydana na łup bez żadnej obrony; którą wprowadziłby w upojenie pierwszy hołd w życiu, a ciekawość poprowadziłaby szybciej jeszcze niż miłość. Dwudziestu mogłoby dojść do celu nie gorzej ode mnie. Zupełnie inaczej w przedsięwzięciu, które mnie zaprzęta: tutaj powodzenie zapewnia mi tyleż chwały co rozkoszy! Miłość, która gotuje się wieńcem przystroić mą głowę, waha się sama między mirtem a laurem lub raczej połączy oba, aby godnie uczcić zwycięstwo. Ty sama, piękna przyjaciółko, staniesz przejęta świętym podziwem, i wykrzykniesz z zapałem: "Oto, zaprawdę, mąż wedle serca mojego."

Znasz, markizo, prezydentową de Tourvel, jej pobożność, jej miłość małżeńską, jej surowe zasady. Oto forteca, do której szturm przypuszczam; oto godny mnie nieprzyjaciel, oto cel.

A jeśli chlubnej ceny nie sięgnę zwycięstwa,  
Zdobędę bodaj zaszczyt daremnego męstwa.

Można cytować liche wiersze, gdy są pióra wielkiego poety.

Dowiedz się zatem, że prezydent bawi w Burgundii, dokąd udał się dla ważnego procesu (mam nadzieję, że ze mną przegra jeszcze ważniejszy). Niepocieszona połowica ma zostać tutaj przez czas żałobnego wdowieństwa. Codzienna msza, biedni w okolicy, ranna i wieczorna modlitwa, samotne przechadzki, nabożne rozmowy z moją starą ciotką i od czasu do czasu nudna partia wiska miały stanowić jedyne jej rozrywki. Tuszę, że uda mi się zagotować jej inne, nieco bardziej ożywione. Dobry anioł przywiódł mnie tutaj dla jej i mego szczęścia.

Szalony! Żałowałem doby, którą musiałem poświęcić rodzinnej powinności. Jakże czułbym się ukarany, gdyby mi

ktoś dziś kazał wracać do Paryża! Na szczęście potrzeba czterech osób, aby grać w wiska, że zaś jest tu pod ręką jedynie proboszcz, moja nieśmiertelna ciotka nalegała bardzo, abym jej darował choć kilka dni. Zgadujesz, markizo, że nie dałem się prosić. Nie wyobrażasz sobie, jak pocziwinka rozplywa się nade mną od tego czasu, a zwłaszcza jak jest zbudowana tym, iż regularnie zjawiam się na codziennych modłach i na mszy. Ani podejrzewa, jakiemu bóstwu niosę hołdy.

Oto więc od czterech dni pochłania mnie namiętność. Znasz mnie; wiesz, czy umiem żywo pragnąć, czy umiem dawać sobie rady z przeszkodami; ale nie wiesz, jak bardzo osamotnienie wzmacnia gorączkę pragnienia. Żyję wyłącznie jednym: myślę o niej we dnie, śnię w nocy. Muszę mieć tę kobietę, aby się ocalić od śmieszności zakochania: dokąd bowiem nie zdoła zaprowadzić nie zaspokojone pragnienie? O słodka sytości! Przyzywam cię dla mego szczęścia, a zwłaszcza spokoju. Jakież to szczęście dla nas, że kobiety tak słabo się bronią! Inaczej bylibyśmy stadem kornych niewolników. W tej chwili ogarnęło mnie uczucie głębokiej wdzięczności dla kobiet łatwych, które to uczucie najprostszą drogą zawiodło mnie do twoich stóp, markizo. Pochyliam się do nich, aby uzyskać przebaczenie, i kończę zbyt długi list; do widzenia, urocza przyjaciółko, i bez urazy.

Z zamku\*\*\*, 5 sierpnia 17\*\*

## LIST V

Markiza de Merteuil do wicehrabiego de Valmont w zamku  
\*\*\*

Czy wiesz wicehrabio, że twój list przekracza dozwolone granice zuchwalstwa i że miałabym prawo obrazić się? Dowiódł mi jednak zarazem, iż straciłeś zupełnie głowę, i to jedno ocaliło cię od mego oburzenia. Jako wspaniałomyślna i tkliwa przyjaciółka zapominam o mej zniewadze, aby myśleć jedynie o twoim niebezpieczeństwie, i jakkolwiek nudną jest rzeczą przemawiać do rozsądku, i na to się odważę przez wzgląd, iż bardzo snadź tego potrzebujesz. Ty, zdobywający prezydentową de Tourvel! Cóż za pocieszny kaprys! Poznaję twoją wariacką głowę, która umie tylko pragnąć tego, co wydaje się niepodobieństwem. Cóż ty widzisz w tej kobiecie? Rysy regularne, jeżeli chcesz, przyznaję, ale bez cienia wyrazu; nieźle zbudowana, ale bez wdzięku, ubrana wprost śmiesznie! Te chusteczki, które opatulają jej piersi, ten biust sięgający gdzieś pod brodę! Powiadam ci, jako przyjaciółka: wystarczyłoby ci mieć już nie dwie, ale jedną kobietę tego pokroju, by stracić całą reputację. Przypomnij sobie tylko dzień, w którym ona kwestowała u Św. Rocha, kiedy tak dziękowałeś mi, że ci dostarczyłam tego widowiska. Widzę ją jeszcze, jak się prowadzi pod rękę z tą długowłosą tyczką, gotowa przewrócić się przy każdym kroku, jak wiecznie zawadza o czyjaś głowę swym łokciowym robronem, jak się rumieni przy każdym ukłonie! Któż by wówczas powiedział, że tobie się zachce kiedyś tej kobiety? Ech, wicehrabio! Ty sam

zarumień się ze wstydu i opamiętaj się zawczasu.  
Przyrzekam ci solenną tajemnicę.

A zresztą zastanów się nad zawodami, jakie cię czekają!  
Co za rywala wypadnie ci zwalczać? - Męża! Czy nie upokarza cię już samo zestawienie? Cóż za hańba, jeżeli poniesiesz klęskę, a w razie zwycięstwa jak mało zaszczytu! Więcej powiem: nie spodziewaj się żadnej przyjemności. Czyż można zaznać jej ze skromnisiemi? Mówię oczywiście o szczerych: czyste nawet w godzinie upojenia, zawsze dadzą ci tylko jakieś pół rozkoszy. To zupełne oddanie, ten szal zmysłów, w którym rozkosz oczyszcza się własnym bezmiarem, ta najwyższa łaska miłości, to wszystko jest im zupełnie nie znane. Przepowiadam ci - w przypuszczeniu najszcześniejszym - twoja prezydentowa będzie sądziła, iż wszystko uczyniła dla ciebie, racząc cię tak, ja raczy swego małżonka: w małżeństwie zaś, choćby najczulszym, zostaje zawsze dwoje, a nie jedno. Tutaj rzecz ma się jeszcze o wiele gorzej: twoja skromnisia jest nabożna, i to ową nabożnością kumoszek, która skazuje kobietę na wieczne dzieciństwo. Może uda ci się nagiąć tę zaporę, lecz nie pochlebiaj sobie, byś ją zniweczył; zwyciężysz może miłość Boga, lecz nie obawę przed diabłem; skoro trzymając kochankę w ramionach uczujesz, iż serce jej bije, będzie ono biło ze strachu, a nie z miłości. Gdybyś poznał tę kobietę wcześniej, może byłbyś coś z niej zrobił, ale dziś ta lala ma dwadzieścia dwa lata, a już blisko dwa lata, jak wyszła z męż. Wierzaj mi, wicehrabio, gdy kobieta "zapuści" się do tego stopnia, trzeba ją zdać jej losowi; na zawsze zostanie tylko kwoczką.

I dla tego uroczego przedmiotu odmawiasz mi posłuszeństwa, zakopujesz się żywcem w grobowcu swej ciotki i wyrzekasz się przygody najrozkoszniejszej w świecie i najwięcej wróżącej ci chwały? Cóż za fatalność chce, aby ten Grecourt zawsze miał pierwszeństwo przed tobą?

Słuchaj, mówię bez gniewu, ale w tej chwili skłonna byłabym uwierzyć, żeś niewart swojej reputacji, przede wszystkim zaś jestem skłonna odebrać ci moje zaufanie. Nie umiałabym zwierzać swoich tajemnic kochankowi pani de Tourvel.

Dowiedz się zresztą, że mała Volanges zdążyła już zawrócić komuś w głowę. Młody Danceny szaleje za nią. Śpiewali kiedyś razem:: ta gąska śpiewa o wiele lepiej, niżby przystało wychowanicy klasztoru. Mają przechodzić z sobą różne duety i sądzę, że, co do niej, chętnie gotowa by się dostroić do unisona; ale ten Danceny to dzieciak, straci drogi czas na gruchaniu i do niczego nie dojdzie. Osóbka jest, ze swej strony, dosyć dzika i gdyby nawet coś się stało, będzie to o wiele mniej zabawne, niż gdybyś ty się chciał tym zająć; toteż wściekła jestem i z pewnością zrobię scenę kawalerowi, skoro się pojawi. Radzę mu, aby był potulny; w tej chwili nic by mnie nie kosztowało zerwać z nim na dobre. Jestem pewna, że gdyby mi przyszło do głowy teraz go rzucić, byłby w prawdziwej depresji, a nic mnie tak nie bawi, jak te miłosne rozpaczki; z pewnością nazwałby mnie "przewrotną". To słowo "przewrotna" zawsze robiło mi przyjemność; jest to po słowie "okrutna" najśłodsza nazwa dla ucha kobiety, a mniej ciężko przychodzi na nią zapracować. Doprawdy, muszę zastanowić się poważnie nad tym zerwaniem. No i sam widzisz, czego stałeś się przyczyną! Niech to spadnie na twoje sumienie. Do widzenia. Chciej mnie polecić modłom prezydentowej.

Paryż, 7 sierpnia\*\*

## LIST VI

Wicehrabia de Valmont do markizy de Merteuil w Paryżu

Czyż nie ma na świecie kobiety, która by nie nadużywała władzy, jaką zdobędzie? Więc i ty, ty, którą nazywałem tak często najpobłażliwszą przyjaciółką, i ty zrzucasz się z roli i nie wzdygasz się ranić mnie tak dotkliwie w przedmiocie mych uczuć! Jakimi rysami ośmielasz się malować panią de Tourvel!... Któryż mężczyzna życiem by nie przypłacił tego zuchwalstwa? Na którąż inną kobietę nie ściągnęłoby to przynajmniej bolesnego odwetu? Przez litość! Nie wystawiaj mnie na tak ciężkie próby; nie ręczę, czy bym je przetrzymał. W imię przyjaźni zaczekaj, aż będę miał tę kobietę, jeżeli chcesz ją zohydzać. Czy nie wiesz, że jedynie rozkosz ma prawo zdejmować z oczu przepaskę miłości?

Ale co ja mówię? Czyż pani de Tourvel potrzebuje pomocy złudzeń? Nie; aby być godną uwielbienia, wystarczy jej być sobą. Zarzucasz jej, że się źle ubiera; chętnie wierzę: wszelkie ubranie jej szkodzi, wszystko, co ją zakrywa, ujmuje jej wdzięku. Dopiero w prostocie domowego stroju staje się naprawdę czarująca. Dzięki straszliwym upałom, jakie nam tu dokuczają, zwykły szlafroczek płócienny pozwala mi podziwiać jej krągłą i gibką kibić. Cieniutki muślin zaledwie przysłania piersi; spojrzenia moje, przelotne, lecz bystre, zdołały już ogarnąć ich niezrównane kształty. Twarz, powiadasz, nie ma wyrazu. I cóż miałyby wyrażać, gdy nic nie przemawia do jej serca? Nie, to pewna, nie spotkasz u niej, jak u naszych zalotniś, owego kłamliwego spojrzenia, które czaruje nas niekiedy, a zawodzi zawsze. Ona nie umie pokrywać pustki

zdawkowych wyrazów wyuczonym uśmiechem; chociaż posiada ząbki najładniejsze na świecie, śmieje się tylko z tego, co ją bawi. Ale trzeba widzieć w czasie najniewinniejszej igraszki, ile w tej twarzy odbija się naiwnej i szczerzej wesołości! Jak wobec nieszczęśliwego, któremu śpieszy z pomocą, spojrzenie jej zwiastuje czystą radość i dobroć tak pełną współczucia! Trzeba widzieć przede wszystkim, jak przy najmniejszym słowie pochwały lub komplementu maluje się na jej niebiańskiej twarzy cudowne zakłopotanie zgoła niepodrabianej skromności!... jest skromna i nabożna: stąd wnosisz, iż musi być zimna i bezduszna? Ja myślę zupełnie inaczej. Jakież dary tkliwości trzeba posiadać, aby je przelewać aż na własnego męża i kochać stale przedmiot stale nieobecny? Jakiegoż silniejszego dowodu mogłabyś jeszcze pragnąć? A jednak umiałem postarać się jeszcze o inny.

Pokierowałem wspólną przechadzkę w ten sposób, że trzeba było nam przebyć dość głęboki rów; pani zaś de Tourvel, jakkolwiek bardzo zręczna, jest jeszcze bardziej bojaźliwa; pojmujesz, że, jako skromnisia, lęka się każdego fałszywego kroku! Trzeba się było zatem powierzyć mej pomocy, i oto wcielenie skromności znalazło się w mych objęciach. Nasze przygotowania i przeprawa starej ciotki pobudziły do głośnego śmiechu rozbawioną prezydentową; skoro zaś ją z kolei uniosłem w górę, ramiona nasze, dzięki mej zręcznej niezaradności, opłótły się wzajem. Przycisnąłem ją do piersi i w tej króciutkiej chwili uczułem, że jej serce bije żywszym tętnem. Rumieniec okrasiał twarzyczkę; pełne skromności zakłopotanie przekonało mnie dostatecznie, że serce jej zabiło z miłości, a nie ze strachu. Ciotka popełniła tę samą omyłkę co i ty, markizo, i rzekła: "Przestraszyła się dziecina"; lecz cudowna prostota dzieciny nie pozwoliła jej na kłamstwo, toteż odparła naiwnie: "Och, nie! Tylko..." To jedno słowo oświeciło mnie.

Od tej chwili słodka nadzieja zajęła miejsce okrutnego niepokoju. Będę miał tę kobietę; odbiorę ją mężowi, który nie jest jej godzien, ośmielę się ją wydrzeć nawet Bogu, którego uwielbia. Cóż za rozkosz być kolejno powodem i zwycięzcą jej wyrzutów! Ani mi w głowie niszczyć przesady, które ją pętają! One to przysporzą mi szczęścia i chwały zarazem. Niech wierzy w cnotę, lecz niech ją dla mnie poświęci; niech z przerażeniem patrzy na własny upadek, niezdolna zatrzymać się w drodze, i niechaj, miotana wyrzutami, nie umie zapomnieć o nich ani ukryć się przed nimi inaczej niż w moich ramionach. Wówczas niechaj mi powie: "Ubóstwiam cię"; zgoda: ona jedna ze wszystkich kobiet będzie godna wymówić to słowo. Będę w istocie Bogiem, którego uwielbiła nad wszystko.

Bądźmy szczerzy: w stosunkach naszego świata, zarówno chłodnych, jak łatwych, to, co nazywamy szczęściem, wszak jest zaledwie przyjemnością. Mam ci się przyznać, markizo? Byłem pewny, iż serce moje zwiędło już zupełnie; nie znajdując w sobie nic, jak tylko zmysły, ubolewałem nad swą przedwczesną zgrzybiałością. Pani de Tourvel wróciła mi czerwone złudzenia młodości. Przy niej nie trzeba mi nawet posiadania, abym się czuł szczęśliwy. Jedyna rzecz, która mnie przeraża, to czas, jaki zajmie cała ta przygoda; bo nie ważyłbym się nic zdawać na los przypadku. Próżno przywodzę sobie na pamięć moje szczęśliwe zuchwalstwa; nie mogę się zdecydować na tę drogę. Abym się czuł zupełnie szczęśliwy, ona musi mi się oddać; a to nie jest byle co!

Pewien jestem, markizo, że podziwiałabyś moją ostrożność. Nie wymówiłem jeszcze słowa "miłość", ale już zdołaliśmy dotrzeć do zaufania i sympatii. Aby ją okłamywać jak najmniej, a zwłaszcza aby uprzedzić plotki, które mogłyby dojść do jej uszu, sam, niby to obwiniając się, opowiedziałem parę swoich najbardziej głośnych

figielków. Uśmiełabyś się słysząc, z jaką prostodusznością ona prawi mi kazania. Pragnie, powiada, nawrócić mnie. Ani jej w głowie świta, ile ją będzie kosztowała ta próba. Daleka jest od przypuszczenia, że przemawiając (to jej styl) imieniem nieszczęsnych, które ja zgubiłem, ujmuje się z góry za własną sprawą. Ta myśl nasunęła mi się wczoraj w czasie jej kazania; nie mogłem odmówić sobie przyjemności przerwania jej zapewnieniem, że mówi jak prorok. Do widzenia, uroczą przyjaciółko! Widzisz, że nie jestem jeszcze zgubiony bez ratunku.

PS. Ale, czy biedny kawaler nie odebrał sobie życia z rozpaczy? Doprawdy, markizo, ty masz w sobie sto razy więcej szelmstwa ode mnie i gdybym posiadał nieco miłości własnej, czułbym się głęboko upokorzony.

\*\*\*, 9 sierpnia 17\*\*

## LIST VII

Cecylia Volanges do Zofii Carnay w klasztorze urszulanek w  
\*\*\*

Jeżeli dotąd nie pisałem nic o moim małżeństwie, to dlatego że ani na jotę więcej nie wiem niż pierwszego dnia. Przyzwyczajam się nie myśleć o tym i czuję się wcale dobrze. Pracuję dużo nad śpiewem i harfą; mam uczucie, że bardziej je polubiłam od czasu, jak nie mam już nauczyciela, lub inaczej, odkąd dostałam o wiele lepszego i miłszego. Kawaler Danceney, ten pan, o którym ci mówiłam, że śpiewałam z nim u pani de Marteuil, jest tak uprzejmy, że przychodzi do nas co dzień i śpiewa ze mną całymi godzinami. Bardzo jest miły. Śpiewa jak anioł i układa prześliczne melodie, do których sam pisze słowa. Wielka szkoda, że on jest kawalerem maltańskim! Myślę, że gdyby się ożenił, żona jego byłaby bardzo szczęśliwa... Ma w sobie jakąś czarodziejską słodycz. Nigdy nie ma się wrażenia, aby prawil komplementy, a mimo to wszystko, co mówi, gładzi po sercu tak miłe. Ciągłe mnie za coś łaje, za muzykę, jak i za inne rzeczy, ale umie włożyć w każda naganę tyle przymilności i humoru, że niepodobna go nie polubić. Wystarczy, żeby na ciebie popatrzył, a już masz wrażenie, że chce ci powiedzieć coś bardzo przyjemnego. A przy tym jest ogromnie grzeczny. Na przykład wczoraj; był proszony na jakiś wielki koncert, a przecież wolał zostać cały wieczór u mamy. Bardzo się ucieszyłam, bo kiedy jego nie ma, nikt się do mnie nie odzywa i nudzę się; kiedy on jest, cały czas śpiewamy i rozmawiamy z sobą. Zawsze ma mi coś do powiedzenia. On i pani de Merteuil to jedyne dwie

sympatyczne osoby. Ale teraz bądź zdrowa, droga;  
przysięgam, że wyuczę się na dziś aryjki z bardzo trudnym  
akompaniamentem, a nie chciałam zrobić mu zawodu.

Posiedzę nad tym, dopóki on nie przyjdzie.

7 sierpnia 17\*\*

## LIST VIII

Prezydentowa de Tourvel do pani de Volanges

Trudno mi wyrazić pani, jak jestem wdzięczna za dowód ufności, którym mnie zaszczytasz, i jak żywo mnie obchodzi zameście panny de Volanges. Z całej duszy, z całego serca życzę jej szczęścia, którego jest godna. Nie znam hrabiego de Gercourt, ale skoro na niego padł tak zaszczytny wybór, mogę mieć o nim jedynie najlepsze wyobrażenie.

Poprzestaję, pani, na życzeniu, aby to małżeństwo uwieńczone było równie pomyślnym skutkiem jak moje, które również jest twoim dziełem i za które każdy dzień pomnaża mą wdzięczność. Oby szczęście twej córki, pani, stało się nagrodą za to, które ja otrzymałam z twej ręki; oby najlepsza z przyjaciółek mogła być i najszczęśliwszą z matek!

Szczerze zmartwiona jestem, że nie mogę osobiście złożyć ci, pani, tych życzeń, a zarazem, czego bym bardzo pragnęła, zapoznać się z panną de Volanges. Doznawszy od ciebie tyle prawdziwie macierzyńskiej dobroci, mam prawo spodziewać się, że znajduję u niej tkliwą przyjaźń siostry, na którą będę się starała zasłużyć.

Przypuszczam, iż zostanę na wsi przez całą nieobecność pana de Tourvel. Skorzystałam z tego czasu, aby się nacieszyć towarzystwem czcigodnej pani de Rosemonde. Czarująca osoba: sędziwy wiek nie odebrał jej nic z dawnego uroku; zachowała całą wesołość i żywość. Ciało jej jedynie liczy osiemdziesiąt cztery lat; duch nie więcej niż dwadzieścia.

Samotność naszą ożywiło nieco przybycie siostrzeńca pani de Rosemonde, wicehrabiego de Valmont, który ma zamiar pozostać tu kilka dni. Znałam go jedynie z rozgłosu, który niezbyt zachęcał do bliższego poznania; zdaje mi się jednak, że pan de Valmont więcej jest wart od swojej reputacji. Tu, gdzie wir światowych uciech nie wie dzie go na pokuszenie bardzo trzeźwo patrzy na siebie i z rzadką prostotą przyznaje się do błędów. Rozmawia ze mną nieraz nader rozsądnie, a ja roztrząsam mu sumienie, i to bardzo surowo. Pani, która go znasz, przyznasz, iż nawrócenie takiego człowieka byłoby pięknym dziełem; nie wątpię jednak, że mimo wszystkich obietnic poprawy tydzień

Paryża wystarczy, aby zapomniał o moich kazaniach. Przynajmniej ten czas, które tu spędzi, będzie stanowił przerwę w jego zwykłym trybie, co wyjdzie tylko na korzyść, jeżeli nie jemu, to innym. Pan de Valmont wie, że piszę w tej chwili do pani, i prosi, abym jej przedłożyła wyrazy najgłębszego szacunku. Chciej przyjąć i moje z dobrocią, która ci jest właściwa, i racz nie wątpić nigdy o najszczerzych uczuciach, z jakimi mam zaszczyt etc.

\*\*\*, 9 sierpnia 17\*\*

## LIST IX

Pani de Valanges do prezydentowej de Tourvel w zamku\*\*\*

Nie wątpiłam nigdy, młoda i piękna przyjaciółko; ani o twojej przyjaźni, ani o szczerym udziale we wszystkim, co mnie dotyczy. Nie po to też, aby poruszać tę materię, która, sędzę, na zawsze jest ustalona, odpowiadam jeszcze na twą odpowiedź ; ale nie mogę pominąć sposobności przesłania ci kilku słów tyczących wicehrabiego de Valmont. Wyznaję, że nie spodziewałam się spotkać kiedykolwiek z tym nazwiskiem w twoich listach. Zaprawdę, cóż może istnieć wspólnego pomiędzy nim a tobą? Nie znasz tego człowieka; i skąd mogłabyś mieć pojęcie o duszy rozpustnika? Mówisz mi o jego rzadkiej prostocie; och, tak! prostota pana de Valmont musi być w istocie dość rzadka! W jeszcze wyższym stopniu fałszywy i niebezpieczny niż gładki i pełen powabu, nigdy od najwcześniejszej młodości nie uczynił kroku, nie powiedział słowa bez jakiegoś zamiaru, nigdy zaś nie powziął zamiaru, który by nie był nieuczciwy lub zbrodniczy. Znasz mnie, droga przyjaciółko; wiesz, że ze wszystkich cnót, jakie staram się sobie przyswoić, najwyżej cenię pobłażliwość. Toteż gdyby Valmont działał w porywie namiętności, gdyby, jak tylu innych, dał się pociągnąć błędom swego wieku, wówczas potępiając uczynki zachowałabym współczucie dla jego osoby i czekałabym w milczeniu, czy nie przyjdzie czas, w którym opamiętanie wróci mu szacunek uczciwych ludzi. Ale w Valmoncie nie ma tego wszystkiego: postępowanie jego jest wynikiem zasad. Umie on doskonale obliczyć, na ile bezceństwa może pozwolić sobie mężczyzna, nie gubiąc się w oczach

świata; toteż aby bezkarnie dać folgę swej złości i okrucieństwu, obrał sobie kobiety na ofiary. Nie próbuję nawet policzyć, które uwiódł, ale ile zgubił po prostu! Przy cichym i bogobojnym życiu, jakie prowadzisz, nie dociera do ciebie wieść o owych gorszących przygodach. Mogłabym opowiedzieć niejedną, która by ci zadrzeć kazała ze zgrozy; ale spojrzenia twoje, czyste jak twoja dusza, zbrukałyby się od takich obrazów; spokojna, że Valmont nigdy nie będzie dla ciebie niebezpieczny, nie potrzebujesz takiego pancerza, aby się obronić. To jeszcze mogę ci powiedzieć, że ze wszystkich kobiet, które miały nieszczęście stać się celem jego zabiegów, uwieńczonych powodzeniem lub nie, każdej gorzko przyszło opłakiwać tę niebezpieczną znajomość. Jedyna markiza de Merteuil stanowi wyjątek; ona jedna umiała mu się oprzeć, a zarazem nałożyć hamulec jego niegodziwości. Wyznaję, że ten rys najwięcej przynosi jej zaszczytu w moim pojęciu; to jedno wystarczyłoby już, aby w oczach świata w całej pełni okupić parę lekkomyślności, jakie miano jej do zarzucenia w początkach wdowieństwa.

Jak bądź się rzeczy mają, moja urocza przyjaciółko, z prawa wieku, doświadczenia, a przede wszystkim przyjaźni, na jedno muszę ci zwrócić uwagę; mianowicie, że w Paryżu zdołano już zauważyć nieobecność Valmonta. Jeżeli się rozgłosi, iż spędził czas w wyłącznym towarzystwie ciotki i twoim, twoja dobra sława znajdzie się w jego rękach: największe nieszczęście, jakie może się zdarzyć kobiecie. Radzę ci więc, uproś ciotkę, aby go nie zatrzymywała dłużej; gdyby się opierał, sądzę, iż powinnaś bez wahania ustąpić mu miejsca. Ale czemuż miał by tam siedzieć? Po co mu się zakopywać na wsi? gdybyś kazała śledzić jego kroki, odkryłabyś z pewnością, że dom ciotki obrał jedynie jako wygodne schronienie dla jakiejś miłostki w okolicy. Ale gdy

nie w waszej mocy zapobiec złemu, poprzestańmy na tym, aby ubezpieczyć bodaj samych siebie.

Do widzenia, droga przyjaciółko; małżeństwo córki opóźnia się nieco. Hrabia de Gercourt, którego oczekiwaliśmy z dnia na dzień, donosi, że pułk jego wysłano na Korsykę; że zaś trwają tam jeszcze rozruchy, niepodobieństwem mu będzie uwolnić się przed zimą. Bardzo mi to nie w smak; w zamian pocieszam się nadzieją, że będziemy miały przyjemność ujżenia cię na weselu; przykro mi było, iż miało się obyć bez ciebie. Do widzenia; masz we mnie, bez czczych zapewnień, zawsze oddaną przyjaciółkę.

PS. Chciej mnie przypomnieć pani de Rosemonde, którą kocham tak, jak na to zasługuje.

Paryż, 11 sierpnia 17\*\*